Do № 58 porannego. Sobota 28 lutego 1931 r.

KURJER WARSZAWSKI DZIECIOM

Rys. S. Norblin.

WRÓBELEK.

Spójrz, dziecię: tam, na dworze —
Wichura, śniegi, lody.
Za oknem twem się tuli
Braciszek — wróbel młody.

Zziębnięty, dziobkiem stuka,
Przemawia do serduszka...
Ach! nie pożałuj jemu
Drobnego choć okruszka!...

Czy słyszysz, dziecię drogie,
Jęk cichy i kwilenie?
Kwiateczku cudny, pomyśl,
Że Boże to stworzenie!

Maleńka rączka dziecka,
Już sypie okruszyny,
Jak płatek lilji, biała,
Dar składa dla ptaszyny.

Za oknem szmer radosny
I dziobka stukotanie.
O, bądź błogosławione,
Nędzarzy ukochanie!...

El. Korotyńska.

Maciuś i bałwan.

Maciuś w szkole nie może dziś usiedzieć od rana: tam — w ogrodzie — stawiają śniegowego bałwana. Toczą kule ze śniegu, drobne, małe kuleczki... coraz większe — i bałwan ma już nogi, jak beczki. Ma już kadłub niedźwiedzi, ręce — niczem słoniowe, i jak dynia, jak balon, jak wielkolud ma głowę. Zaraz uszy mu zrobią, ktoś mu twarz ponalepia: dwa drewienka — nos, usta, dwa węgielki — dwa ślepia. I kapelusz mu wsadzą, tak z fantazją, na bakier, by się wydał zdaleka chwackim, grackim chłopakiem. A do łapy mu wcisną starą miotłę... Niech zmiata! Niech zamiata świat wkoło! Niech zamiecie pół świata!

A teraz nań — lu! — wodą! A teraz dać mu prysznic! Niech zamarznie, niech stoi, niech do wiosny się pyszni!

×

Stoi bałwan, hej! — stoi na śniegowej zamieci. Łup-cup-tup — tańczą wkoło roztańcowane dzieci.

A to bałwana kopnie, a temu brak już tchu, a tamto ryms! — na ziemię: — Hu, bu!...

I znowu raz dokoła, i jeszcze raz-dwa-trzy! Hopsasa - bałwanasa! Śmiech, wrzawa, pisk i krzyk...

— Hej, bałwanie, bałwanie, co tak stoisz, mój panie? Czemu miotłą nie ruszasz, nie zdejmiesz kapelusza? Nikt się ciebie nie boi: stanął bałwan — niech stoi, ze ślepiami - węglami, w iskrzącej, srebrnej zbroi!...

A bałwan nic nie mówi, a bałwan się nie rusza: siedzi w nim i rozmyśla zaklęta Mrozu dusza.

×

I nasz Maciuś też siedzi, ale w szkole na ławce, i rozmyśla zawzięcie o bałwanie - zabawce, o bałwanie milczącym, o bałwanie - potworze, co śnieg miotłą zamiata, ale zamieść nie może.

Hu, ha, ha — na rozgrzewkę skaczą nóżki Maciula; w jego główce śniegowa biała toczy się kula, toczy kula ze śniegu, toczy, toczy od rana... Prawdziwego, żywego stawia Maciuś bałwana.

Siedzi niby na ławce, niby to lekcji słucha, ale w jego serduszku śnieżyca - zawierucha.

Wielki bałwan wyrasta z tej śnieżycy - zamieci; łup - cup - tup! — tańczą wkoło roztańcowane dzieci. A to bałwana kopnie, a temu brak już tchu, a tamto ryms! — na ziemię: — Hu, bu!...

I znowu raz dokoła, i znowu raz - dwa - trzy! Hopsasa - bałwanasa! Śmiech, wrzawa, pisk i krzyk...

A tu naprawdę wrzawa; w klasie szumi, jak w ulu. Nauczyciel wciąż woła: — Chodź tu, chodźże, Maciulu!...

A Maciulo nie słyszy, nic nie wie, nie rozumie: głuchy, jak bałwan, siedzi w rozchichotanym tłumie.

Musi mu nauczyciel pięć razy krzyknąć: — Maćku! Maćku! Maciusiu! Maciu! Zbudź się, obudź, chłopaczku!... Bo Maciuło tak mocno zapatrzył się, zasłuchał, jakby mu kto mgłę w oczy, watę wsadził do ucha.

Teraz oczki przeciera, jak po dobrym noclegu: duszą w klasie już siedzi, lecz rozumem — na śniegu.

Nauczyciel go pyta: — Umiesz lekcję zadaną? — A on tak odpowiada: — Bał... bałwana... bałwanom...

— Wstydź się! — rzeknie pan — co to dzisiaj z tobą się dzieje?... Maciuś oczki wytrzeszcza, milczy... Klasa się śmieje!

Wreszcie mówić zaczyna... Znów się w słowach zaplątał...

Postawiono Maciusia (czyż wam nie żal?) — do kąta.

W kącie było zacisznie; Maciuś łezkę uronił, ale potem się zaciął — myśli: — Będę się bronił!... Pójdę dzisiaj, dziś jeszcze, gdzie droga niedeptana, na pola zaśnieżone, do niego, do bałwana...

Wtem głos nauczyciela dobiegł go, jak z pod ziemi: — Dzieci! Teraz — dyktando! A ty, Maćku, pisz z niemi!...

Pisze Maciuś dyktando, kleks sadza obok kleksa...

Dzwonek...

Tak się skończyła ta niefortunna lekcja.

Lucjan André.

Pierwsza ślizgawka Jędrusia.

W tym roku aniołek przyniósł nareszcie Jędrusiowi łyżwy. Ach, cóż to była za radość! Choć pod choinką leżało dużo rozmaitych pięknych rzeczy: łamigłówka, wspaniały hełm strażacki, dwie książeczki — dziwnem przeczuciem wiedziony, Jędruś pochwycił odrazu niepozorną paczkę, owiązaną grubym sznurkiem. Drżącemi z niecierpliwości rączkami usiłował go rozplątać. Szło mu to ciężko, ale po chwili, gdy sznurek się rozluźnił, do nóżek jego upadła z brzękiem ciężka, błyszcząca, jak srebro, łyżwa. Spełniło się marzenie. Dobry aniołek wysłuchał próśb, zasyłanych doń codziennie przy wieczornym paciorku. W paczce, oprócz łyżew, znalazły się jeszcze dwie blaszki, osiem śrubek i klucz do przykręcania.

Zachwycony i przejęty chłopczyk przysiadł na dywanie i z uwagą usiłował przytwierdzić łyżwy do swych lekkich pantofelków. Wszyscy śmieli się z niego, że po podłodze ślizgać się zamierza, ale on na nic nie uważał, tylko w skupieniu kręcił kluczem śrubkę.

— Poczekaj, syneczku — rzekła mamusia — przedtem musi niania twoje buciki odnieść do szewca, żeby przytwierdził blaszki do obcasów.

— To niech zalaz idzie — prosił chłopiec.

— Zaraz nie może, bo to dziś wielkie święto i nikt nie pracuje — tłómaczył mu dziadziuś.

Idąc spać, poustawiał Jędruś wszystkie nowe zabawki obok swego łóżeczka, ale łyżwy schował pod poduszkę, na wszelki wypadek.

Upłynęło kilka dni, a tu jak na złość, nastała odwilż. Każdego ranka chłopczyk zrywał się z łóżeczka i biegł do okna zobaczyć, czy jest mróz, lecz o ślizgawce mowy nawet nie było. Nareszcie po Trzech Królach ustaliła się jakoś pogoda. Niania przyniosła buty od szewca, który doskonale przybił obie blaszki.

Dnia tego mamusia obiecała synkowi, że sama przyjdzie po niego do szkoły i zaprowadzi na ślizgawkę.

W szkole było bardzo wesoło; dzieci wycinały szopkę i uczyły się ślicznej nowej kolędy. Jędruś zupełnie zapomniał o łyżwach. Kiedy jednak rozległ się dzwonek i trzeba było się ubierać, malec przypomniał sobie, że ma iść z mamusią na lód. Jak szalony, wypadł na korytarz, rozpychając przed sobą dzieci i głośno wołając:

— Puśćcie mnie, puśćcie, bo się śpieszę, bo idę na ślizgawkę. Tam mamusia czeka z łyżwami!...

Jakoż mamusia czekała w gromadce innych pań, przybyłych po dzieci, i uśmiechem powitała chłopczyka, który w rozpiętym płaszczyku energicznie się do niej poprzez tłum przepychał. Po włożeniu rękawiczek i czapeczki, wyszli na ulicę. Jędruś poważnie dźwigał łyżwy, przyniesione przez mamę, która piastowała pusty koszyczek od śniadania. Pogoda nie była zbyt ładna.



Rys. M. Wisznicki.

Na chodnikach pod stopami przechodniów tworzyło się szare błoto, śnieg prószył.

— Mamusiu, a może lód się rozpuścił? — pytał niespokojnie chłopczyk.

— Nie, nie stopniał — pocieszała go mamusia — byłam przed chwilą i widziałam, że się ślizgają.

Doszli niebawem do ulicy, gdzie mieściła się ślizgawka. Jędruś już przez barjerę dojrzał białą taflę lodu i ślizgające się na niej dzieci. Niebawem mamusia posadziła go na ławce i, pochylona, zajęła się przytwierdzaniem łyżew. W tej chwili obok usiadł zgrabny starszy chłopczyk w sportowej kurteczce.

— Może ja pani pomogę — zwrócił się uprzejmie do mamusi, która daremnie przy pomocy pilniczka usiłowała przebić w pasku jeszcze jedną dziurkę.

— Dziękuję bardzo, jeżeli pan taki łaskaw — odpowiedziała mamusia.

Łyżwy siedziały, jak przymurowane. Jędruś podniósł się z ławki i śmiało stanął na lodzie, ale natychmiast nożyny mu się rozjechały i klapnął, jak długi.

— Poczekaj, synku, ja ci pomogę — mówiła mama, jedną ręką otrzepując zaśnieżony płaszczyk, a drugą biorąc synka za łapkę.

— Mamusiu, mamusiu! mnie się nóżki gubiom — skarżył się chłopczyk.

Ale teraz szło mu troszkę lepiej; choć chwiejnie, posuwał się jakoś, z wysiłkiem unosząc do góry ciężkie od łyżew nóżki.

— O, niech go pani puści samego; tak się najprędzej nauczy — mówiła starsza panienka w niebieskim sweterku, która zgrabnie przebiegła obok nich i zatrzymała się na chwilę.

— Ależ on jeszcze malutki, ma pięć lat dopiero — tłómaczyła jej zafrasowana mamusia.

— To w sam czas rozpoczął się uczyć; ja też byłam taka mała, jak zaczynałam się ślizgać, a teraz — ot, jak jeżdżę — dodała wesoło, zataczając wspaniałe koło.

— Ja też tak będę potrafił, plawda? — zapytał Jędruś, który właśnie w tej chwili usiadł na lodzie i nie miał siły wstać.

— Prawda, prawda, mój maleńki... A teraz wstań i chodź! — Chłopczyk wstał i z pomocą mamy dotarł do ławki. Jakto przyjemnie usiąść po takim trudzie i nóżki zmęczone swobodnie opuścić. Lecz niebawem znowu stanął na lodzie. Tymczasem mamusia odsunęła się od niego kilka kroków, mówiąc:

— No, chodź do mnie, ty mój grubasku!

Jędruś wyciągnął rączki i z trudem, wykrzywiając niemiłosiernie łyżwy, usiłował przysunąć się do mamy.

— Doskonale, doskonale — wołała, odsuwając się znów o parę kroków, aby zmusić go do poruszenia się jeszcze dalej. Ale Jędruś już przestał się bać i szedł naprzód, choć przewracał się prawie co krok. Po chwili chwycił drewnianą barjerę i z jej pomocą już raźno się ruszał, śmiesznie wytrzeszczając swoje czarne ślepki i trzęsąc wojowniczo pomponem wysokiej czapeczki.

— Och, jak doskonale! świetnie! — pochwaliła go panienka w niebieskim sweterku. Jędruś, oparty na swej barjerce, zawędrowałby właśnie na sam środek lodu. Wtem jakiś pan z biało-czerwoną opaską zabrał mu podpórkę i malec stanął bezradny. Ławka tak daleko, jak on do niej dojdzie. Ruszyć się bał bez barjerki.

Ale nagle zrobiło mu się dziwnie przyjemnie i lekko. Chłopczyk w sportowej kurtce chwycił go za ręce i wiózł w stronę mamusi, stojącej na drewnianym pomoście.

— Dziękuję panu, dziękuję — mówiła — a czy ci nie zimno? — dodała, zwracając się do synka.

— Nie, nie, wcale! ja się chcem długo ślizgać — odparł Jędruś, puszczając się znowu w niebezpieczną podróż po lodzie. Przewracał się nagle, ale i podnosił już coraz prędzej. Na policzki wystąpiły mu rumieńce, uszki mocno się zaczerwieniły, rękawiczki miał zupełnie mokre od śniegu, ale na nic nie uważał. On się musi ślizgać, jak te duże dzieci. Potem uczepił się małej dziewczynki, która drugi raz dopiero była na ślizgawce. Wzięli się oboje za rączki i gdy jedno się przewróciło, to drugie pomagało mu wstawać. Ale jakże zabawnie wyglądali, gdy oboje, jak dwie kuleczki, toczyli się na lód jednocześnie. Wtedy gramolili się wspólnie ku wielkiej uciesze patrzących.

Gdy wreszcie mamusia zdjęła synkowi łyżwy i związała je znowu paskiem, malec niósł je dumnie i szedł po chodniku sam, nie trzymając się ręki mamy. Jakto, przecież on już duży! On się ślizga!

A co tam było do opowiadania po powrocie do domu! a jak obiadek smakował!

Janina Godlewska.

Tłusty Czwartek sikorek.

— „Kulalko"! zrób mi befsztyk dla sikorek, tylko duży, bo to jutro Tłusty Czwartek, muszę im zanieść do karmika, a chleba nie wolno wrzucać do skrzyneczki—mówi jednym tchem sześcioletnia Monika, wpadając do kuchni.

— Co też panienka żąda! Ja mam befsztyki dla państwa, a nie dla ptaków! O! niech panienka patrzy: pani mi dała tyle roboty! tyle chróstu muszę do stołu na Tłusty Czwartek usmażyć!...

Monika wiedziała, że już nic dla sikorek nie uzyska. Ale od czego stara niania?

— Niech się Moniczka nie martwi — mówi, gładząc spracowaną, pomarszczoną ręką jedwabiste włoski ulubienicy — niania przygotuje befsztyk dla sikorek, i zaniesiemy, rybeńko, do ogrodu.

— Choć tyci, tyciuni! moja nianiu! Rysia urządza Tłusty Czwartek dla seminarzystek, Edmund, zamiast pączków, daje składkę na Macierz w Gdańsku. Ja jedna nie mam co komu urządzić. Więc wyprawię Tłusty Czwartek ptaszkom w parku, ale trzeba jeszcze ziarn słonecznika, i maku, i konopi, i czarnego bzu! Ojej! ile ja mam roboty! zkąd ja tego wszystkiego wezmę?...

I, skacząc, pobiegła przez pokoje.

„Kulalka“ — jak ją nazywała dziecinną mową — nic z tego do obiadu nie gotuje, więc niewarto nawet z nią mówić. Ale od czego pan felczer? Codzień przychodzi robić mamusi zastrzyki; taki jest dobry, to może co poradzi.

— Panie doktorze —mówi z ładnym dygiem— nie mógłby mi pan przynieść jutro słonecznikowych ziarn i czarnego bzu dla sikorek?

Felczer się zaśmiał, ubawiony wielką powagą dziewczynki.

— Będzie panna Monika miała jutro wszystko. A może jeszcze jakich ziarnek trzeba?

Dziewczynka zamawiała wszystko po kolei. Toż to będzie uciecha jutro dla ptaszków.

Niania z tajemniczą miną przyniosła nazajutrz torbeczkę z plasterkami słoniny, trochę smalcu, łoju i surowego mięsa. Felczer zjawił się z drugą, mocno wypchaną ziarnem. Monika klaskała w rączki.

Zrana przewiozła samochodzikiem lalki Alutę i Niutę po całem mieszkaniu; były nawet w łazience. Niech wiedzą, że to Tłusty Czwartek! Teraz poprosi niani i zabierze je obie na prawdziwą przejażdżkę — autobusem po mieście. One nigdy jeszcze nie jeździły tym czerwonym, co tak ślicznie trąbi, aby umykać mu z drogi, i macha taką czerwoną ręką! Chyba nie będą się bały? Zresztą — jest niania do pomocy. Reniusia, jej koleżanka, urządza też swoim lalkom Ostatki i zaprosiła ją, aby przyszła pomódz przewieźć wszystkie pięć „zerem“ naokoło Warszawy. No, dobrze, że niania będzie, inaczejby sobie rady z tym drobiazgiem nie dały! A lalki niech tymczasem spróbują autobusu.

Misiowi z pluszu, takiemu wielkiemu, już rano sprawiła Tłusty Czwartek, bo mu opowiedziała różne historyjki o niedźwiedziach. Najpierw bajkę, której właśnie skończyła się uczyć. Potem zawiadomiła go, że w ogrodzie zoologicznym urodził się mały niedźwiadek. Jak będzie wiosna, mamusia ich tam oboje zabierze i wtedy się z nim pozna. Na zakończenie opowiedziała mu, co rodzice wczoraj przy kolacji mówili: że w Łomży jakiś niedźwiednik chodzi po ulicach z kilku tresowanemi niedźwiedziami i daje przedstawienia.

Miś słucha i słucha. Przyjemnie o swoich współziomkach tyle się dowiedzieć! A jeszcze miał obiecany spacer przed wielkie witryny magazynu, gdzie takie śliczne urządzają wystawy z samych misiów: małych i dużych, białych, burych i bronzowych. Choć przez szybę spojrzy na nich, jak jadą samochodami z lalkami...

Miś drzemie przy szafie na białym lakierowanym foteliku panny Aluty i myśli, jaką to będzie miał po południu uciechę. A wszystko to dlatego, że Monika chce mu sprawić Tłusty Czwartek.

Tylko najpierw musi iść sama do ptaszków, bo jak się ściemni, to do ogrodu nie wpuszczą, a za to witryny sklepowe w świetle elektrycznem jeszcze piękniej się wydadzą.

Więc wszystko po kolei. Najpierw sikorki, potem lalki do autobusu, Miś na ostatku z wizytą do innych misiów.

— Ależ, rybeńko, jakaś ty obładowana — mówi niania, gdy zobaczyła w przedpokoju Monikę w salopce, z dwiema lalkami i niedźwiedziem pod pachą.

— Nic się nie dziw, nianiusiu! Ty nieś zapasy dla ptaszków, a w parku wszystko ci opowiem...

Niania wie, że Monika jest mądrą dziewczynką. Może już i wyrosła z wieku, w którym ma się nianię, ale nasza niania to nie taka zwykła! Mama zawierza jej we wszystkiem. Tyle lat jest w domu. Wychowała całą trójkę dzieci. Kocha je, jak własne. Dlatego mama nigdy się z nią nie rozstanie.

Na krzakach bzu, na gołych gałązkach, siedziało mnóstwo ptaszków. Istny wiec czy sejm! Ćwierkały głośno, a głos ich rozchodził się tak przyjemnie w zimowem powietrzu, jak szczebiot dzieci w dziecinnym pokoju — naturalnie, gdy dzieci są grzeczne i bawią się zgodnie. Obok była skrzyneczka, a na niej napis, co dla kogo wrzucać. Ptaszki dobrze o wszystkiem wiedziały, dlatego właśnie gromadziły się w tem miejscu, oczekując na swe porcje.

Monika usadziła lalki i niedźwiedzia pod drzewem na śniegu, a sama, wspiąwszy się na paluszki, wysypała zawartość torebek do skrzyneczki. Potem zamknęła wieczko i, zabrawszy swych przyjaciół, poszła dalej z nianią wzdłuż alejek, oglądając się ciągle, kiedy stróż nadejdzie, by przenieść wszystko ze skrzyneczki do karmika. Niania tymczasem, widząc jej niecierpliwość, opowiedziała taką historję:

— Był jeden chłopczyk, bardzo grzeczny i pilny w naukach, ale lubił biegać w las i łowić ptaszki. Kiedyś, a było to latem, położył się pod drzewem i usnął, zmęczony. Wtem słyszy wyraźny głos: „Po co trudzisz się łowieniem ptactwa? Oto ja uczynię cię łowcą ludzi.“

Zbudził się chłopiec, a, nie widząc nikogo, zdumiał się wielce. Rozmyślał odtąd często nad tym snem i począł więcej troszczyć się o swe sprawowanie. Postąpił w naukach, w cnotach, modlił się często, dorósłszy — został zakonnikiem w klasztorze bazyljanów w Kijowie, a w końcu arcybiskupem i metropolitą Rusi. Wszystkie pieniądze albo rozdawał ubogim, albo budował kościoły. W klasztorze otrzymał imię zakonne Aleksy. Sen jego się sprawdził: został łowcą ludzi, bo iluż obojętnych i złych nawrócił do wiary świętej! To był święty Aleksy — patron Rusi.

Gdy tak mówiła niania, która sama była rodem z Ukrainy, Monika nagle zapytała:

— A czy jabym nie mogła, nianiu, oddawać pieniędzy, które mi tatuś daje do skarbonki, też na budowanie kościołów?

— A czemu nie, rybeńko? Daleko lepszy zrobisz z nich wtedy użytek, niż kupując czekoladki.

— Nianiusiu—oświadczyła dziewczynka z powagą — gdy wrócimy ze spaceru, wyjmiemy wszystko z glinianki i zaniesiesz to tam, gdzie budują kościół...

— Rybeńko moja! — zawołała wzruszona niania.

Tymczasem Monika już kładła pod krzakiem bzu, na śniegu, arkusz papieru, na którym czerniały kreski i wykrętasy.

— To liścik napisałam do sikorek—objaśniła.

— Przecież ty pisać jeszcze nie umiesz?

— I ptaszki też nie umieją, a jednak piszą po śniegu i po piasku. One mnie zrozumieją. Takie same zygzaki, jakie one robią pazurkami, ja porobiłam w tym liściku. Napisałam im tylko, bo nikt im tego nie powie, żeby wiedziały, że Monika przyniosła im na obiad befsztyk, i słonecznik, i czarny bez. I że to dziś Tłusty Czwartek...

Marta Mrozowska.

W marcu, jak w garcu.

Wiadomo, że Rok rządzi dwunastoma miesiącami. Co pewien czas wypuszcza jednego z nich i pozwala mu panować na świecie.

Miesiące, jak miesiące. Każdy z nich chciałby panować jak najdłużej, ale zwykle są posłuszne i, gdy Czas odwoła je, wracają, aby złożyć przed Rokiem raport ze swych rządów. Jeden Luty jest bardzo kłótliwy i uparty.

Nigdy nie chce wrócić w porę do pałacu miesięcy. Rok pozwolił mu panować tylko dwadzieścia osiem dni, więc stara się zawsze, jak może, żeby utrwalić się w pamięci. Najbardziej daje się we znaki ptakom, zwierzętom i biednym ludziom. A taki jest uparty, że nawet wytargował sobie co cztery lata panowanie o jeden dzień dłuższe.

Ponieważ dwa miesiące nie mogą razem panować na świecie, więc Luty ustępuje miejsca Marcowi, ale postanowił, że będzie mu skrycie przeszkadzał, ile tylko się da.

Właśnie Czas oznajmił Lutemu, że pora iść z raportem do Roku. Cóż było robić? Poszedł. Po drodze spotkał Marca, który akurat wychodził na świat, wesoły i uśmiechnięty.

— Czekaj, ty — pomyślał Luty — nie ciesz się! Jeszcze ja ci pokażę, co umiem!

I poszedł zdawać raport.

Marzec zaczął robić porządek.

Rozrąbał lodowe okowy wód, aż zaszumiały radośnie rzeki i strumienie. Skowronka, który niedawno wrócił z ciepłych krajów, wysłał w poselstwie do słońca, aby spojrzało łaskawiej na zmarzniętą ziemię. Słonko nie pożałowało ciepłych wejrzeń. Roztajały wnet śniegi, nabrzmiały pączki i młode pędy drzewin.

— Dzięki! dzięki! — zaśpiewał skowronek, oznajmiając całemu światu, że to już wiosna nastaje.

Radość i uciecha ogarnęła wszystkich.

A Luty wymknął się cichaczem z pałacu miesięcy i zaczął psocić.

Rzucił na ziemię ogromną przygarść śniegu, wypuścił z ukrycia zimny wiatr, zasnuł niebo szarą przędzą chmur.

Popłoch powstał na świecie. Co tylko żyło, pochowało się do swych kryjówek, żeby nie stanąć na drodze złemu Lutemu. Biedny Marzec, widząc, że jego praca idzie na marne, zapłakał gorzko obfitemi strumieniami deszczu. Płakał tak długo, dokąd jego łzy nie stopiły reszty śniegów i lodów.

Tymczasem Luty ukrył się, bo bał się zbyt długo rządzić na świecie w nieswojej porze.

Marzec zabrał się znowu do pracy. Przez kilka dni zdawało się, że już nie wrócą wichry i śnieżyce.

Ale Luty jeszcze się nie uspokoił. Znów wylazł z kryjówki, objuczony jakiemiś torbami.

Właśnie Marzec wdał się w gawędę z ptakami, wracającemi z wyraju, i wypytywał je o nowiny, zapominając o Bożym świecie, gdy na głowę poczęły mu spadać białe, lodowate kamyczki.

— Gwałtu! toż to grad pada! — zakrzyknął zrozpaczony.

Za gradem sypnął śnieg dużemi, mokremi płatami, a później zawiał ostry, przejmujący wiatr. Naokoło rozległy się narzekania:

— Ładnie się Marzec sprawuje, niema co mówić!

— Obiecywał wiosnę, ciepło, a tu nas ziąb przejmuje do szpiku kości!

×

I kilka razy jeszcze powtarzały się takie historje.

Jak tylko Marzec chciał chwilkę odsapnąć, zaraz Luty wyłaził z kryjówki i płatał mu psie figle.

— Słoneczko kochane, ratuj mnie! — wołał wtedy Marzec.

Słonko nie kazało się długo prosić.

Na ziemię sypał się to śnieg, to grad, to strumienie deszczu lały się, jak przez sito, ale i złote słońce nierzadko pokazywało się na niebie, a ciepły jego uśmiech oznajmiał całemu światu, że wiosna już nadchodzi. **Halina Grotówna.**



Rys. **M. Wisznicki.**

Przygoda Zosi - Afrykanki.

(Ciąg dalszy.)

Ale dobrze wychowane dziewczynki naogół nie powinny miewać tak skomplikowanych przygód, bo im nie każdy uwierzy. Naprzykład, starsza, czcigodna pani najwyraźniej nie chciała uwierzyć. Sądziła, że Zosia zmyśla, jak to się czasem, podobno, zdarza niektórym dziewczynkom i w naszym klimacie. Lub, że afrykańskie słońce przepaliło jej zabardzo główkę, tak, że mówi od rzeczy. A tymczasem ta cała przygoda Zosi, którą potem małpy uratowały od słonia i zabrały na małpie drzewo, była przecież nawet bardzo dokładnie i ze szczegółami opisana w książce pod tytułem „Czerwone Pantofelki“. I nad tą historją wiele małych dziewczynek wylało wiele gorzkich łez: tak bardzo było im żal biednej, zgubionej Zosi. I taką smutną, dziwną historyjkę opowiada małym małpiątkom w tej książce małpa-ciocia, podczas kiedy Zosia w ich gnieździe bezpiecznie śpi! I właśnie to nie kto inny, tylko małpa-ciocia nauczyła małe małpiątka, aby nazajutrz rano zrobiły duży sznur, trzymając jedna drugą za ogon, i odprowadziły Zosię aż pod sam ogród starszej, czcigodnej pani, dokąd się czasem zakradały na wyborne owoce. Bo ostatecznie Zosia nie była małpką, która się umie zawieszać na ogonie i jada szyszki, tylko dziewczynką: musiała więc wrócić do ludzi, bo jakżeby inaczej znalazł ją wreszcie jej tatuś, myśliwy? I w ten właśnie sposób Zosia znalazła się w chwili, kiedy się zaczyna nasze opowiadanie, w jadalni u starszej pani i u jej kota w pięknej, zielonej kokardzie — wprost od małp.

Ale starsza pani nie chciała słuchać dalej.

— Opowiesz mi o tem kiedyindziej!... — rzekła oschle. — Ranek w moim domu musi być zawsze poświęcony uczciwej pracy, nie gadaniu. Mam nadzieję, że ktoś po ciebie wcześniej, czy później, się zgłosi, bo widzę, że jesteś bardzo nieprzyjemnem dzieckiem. Tymczasem wyszydełkujesz dla siebie pantofle z włóczki, którą właśnie zaraz dostaniesz. Wówczas będziesz mogła z mniejszą przykrością zjeść obiad, gdyż inaczej nie wątpię, że nie potrafiłabyś przełknąć ani kawałeczka! Niema uczucia bardziej upokarzającego nad to, że się jest darmozjadem! Dlaczego nie patrzysz na mnie, skoro do ciebie mówię? Małe dziewczynki powinny zawsze patrzeć wprost w oczy! Jeżeli małe dziewczynki mają oczy spuszczone, znaczy to, że mają nieczyste sumienie. Jakto? płaczesz? płaczesz, chociaż ci dałam mleka i nawet własnej włóczki na robienie pantofli? Dlaczegóż płaczesz, grymaśna mała dziewczynko?...

— Bo się pani na mnie wciąż gniewa?... — wyznała ze łzami Zosia. — Bo pani do mnie mówi tak. jak nie mówił dotychczas nigdy nikt, nikt!... Mój tatuś miał dobry głos i wszyscy jego przyjaciele mieli dobre głosy, i tylko papuga, która była u mojej babci, mówiła, jak pani! A przytem jestem przecież bardzo biedna, bo się zgubiłam od mego tatusia, i co teraz ze mną będzie?...

Małe dziewczynki mają tę właściwość, że o wielu rzeczach całkiem nie potrafią mówić spokojnie i z rozsądkiem. Tak właśnie było z Zosią. Płakała, tupała nóżkami i, wsadziwszy obie piąstki w oczy, wołała, że nie kocha pobożnej pani, że woli o wiele, o wiele nawet małpy, które widziała, ale że przedewszystkiem chce wrócić do tatusia! Do swego dobrego, kochanego tatusia, który się pewnie o nią strasznie martwi! I więcej nic, nic, nic!...

Wszystko to, wziąwszy razem, było bardzo, bardzo niegrzeczne. To też pobożna pani zrobiła się jeszcze cieńsza i suchsza, nos jej się wydłużył i stał się bardziej hakowaty, zaś oczy stały się podobne do dwóch przenikliwych, bardzo błyszczących szpareczek. Podniosła z godnością głowę i rzekła oschle:

— Widzę z tego, moje dziecko, że jesteś biednem, zaniedbanem stworzeniem, któremu nikt nie tłumaczył zasad wychowania, ani też jego obowiązków na świecie. Przykrą to jest rzeczą wychowywać cudze dzieci, jednak chrześcijanin nie powinien się cofać przed żadnem poświęceniem, aby udoskonalić bliźniego. Zostaniesz tu, na tem krześle, do tego czasu, póki nie wyszydełkujesz obu pantofli, poczem dopiero możesz się upomnieć o jedzenie. Ponieważ zaś jesteś dziwnie krnąbrną, postawię



Rys. M. Wiszniçki.

ci je przed oczyma tu, na stole, ażeby ci przypominało o głodzie, i było podnietą w pracy. Upór, to brzydka i szkodliwa wada, którą należy tępić w zarodku!

To rzekłszy, umieściła Zosię, wraz z robotą, przy otwartem oknie, ocienionem przez duże drzewo afrykańskie, sama zaś zaczęła się krzątać przy zastawie stołu. Dobywała z bufetu masło, mleko, mięso i chleb i ustawiała to wszystko po kolei, uważając, aby żaden talerzyk nie wysunął się bardziej, niż inny. Sapała przytem głośno z irytacji, a koniec nosa jej stał się takiego koloru, jak dojrzewająca śliwka. Kot, który dotychczas drzemał na kanapie, zeskoczył i, miłosiernie miaucząc, chodził za nią krok w krok, śledząc zielonemi oczami stawiane na stole smakołyki, i ocierając się grzbietem o jej suknię. Ale pobożna pani była zirytowana. Potrąciła go nogą tak, że odleciał, aż pod ścianę, i rzekła ostro:

— Proszę się nie uprzykrzać, bo się nie dostanie nic! Skoro się ma do nakarmienia jeden żołądek więcej, należy odjąć sobie, bo nie jestem tak bogata, ażeby karmić wszystkich darmozjadów! Do obiadu Mruczuś nie dostanie nic, a przy obiedzie o połowę mniej, niż zawsze. Odtąd proszę to sobie zapamiętać! Zrozumiano?

Kot widocznie zrozumiał, bo nastroszył się, jak szczotka i prychnął się na to tak groźnie, jak tylko obrażony kot potrafi. Wyzbywać się swojej porcji jadła dla jakiejś małej dziewczynki wcale mu się nie uśmiechało, gdyż poświęcenie jest to cnota chrześcijańska, dla kotów, naturalnie, niedostępna. Ale w tej właśnie chwili zaszedł wypadek, który go zajął tak dalece, że narazie odsunął nawet myśl o jedzeniu. Oto kłębek z włóczką, pociągnięty przez Zosię, stoczył się z jej kolan i, jak duża puchata kula, pokoziołkował pod krzesło. Na świecie tak już jest urządzone, że zarówno każdy człowiek, jak każde zwierzę, mają coś, co ich pociąga ku sobie nieprzepartą siłą. Dla małych dziewczynek taką rzeczą jest, naprzykład, lalka, czekoladka, nowa sukienka. Dla chłopców — bat, szabla, trąbka, stary gwóźdź, kawał rzemienia i przygody Robinsona na bezludnej wyspie. A dla kota, między paru innemi rzeczami — kłębek z włóczką, który się toczy po ziemi, gdyby nawet kot był zupełnie duży, a kłębek całkiem mały, albo też odwrotnie.

Właściwie dlaczego tak jest? Niewiadomo. Jedni mówią, że kłębek przypomina kotom mysz, i dlatego za nim gonią tak łapczywie. Inni znów twierdzą, że łapią go poprostu, gdyż przed niemi ucieka. Bo zarówno koty, jak ludzie, mają tę cechę, że nie mogą obojętnie widzieć rzeczy przed niemi uciekających.

Tak było i z kotem pobożnej pani. Ujrzawszy toczący się kłębek, nastawił się, poczem zrobił duży skok i złapał go w pazurki. Mysz-by w takim wypadku wydała cienki pisk. Kłębek jednak nie mówił nic, i to właśnie kota niepokoiło i zaciekawiało nad wyraz. Podniósł więc ostrożnie lewą łapkę, aby się przyjrzeć dziwnemu stworzeniu, które wcale nie piszczy, prawą jednak trzymał wciąż, mocno przyciskając, aby mu zdobycz nie uciekła. Ale kłębek ani myślał uciekać. Leżał sobie dobrodusznie na ziemi i nie wyjawiał żadnych złych zamiarów. Kot jest to stworzenie nieufne i obłudne, to też i innym mocno nie dowierza. Popuścił więc i drugą łapkę, ale cały był w pogotowiu, aby skoczyć przy najbliższym ruchu, gdy wtem Zosia, uszczęśliwiona z zabawy, targnęła z całej siły za nitkę. Kłębek zrobił hyc! i skoczył w górę, aż na parapet, gdzie stała doniczka z kwiatem, ale w tejże sekundzie za kłębkiem skoczył kot i przewróciwszy doniczkę, złapał kłębek w obie łapki z powrotem. Doniczka z hałasem spadła, pobożna pani, krzątając się przy bufecie, obróciła się, i...

Nie! Są rzeczy zbyt przykre, aby je opisywać. Dość, że kot został złapany za kark i wyrzucony za drzwi, a do Zosi pobożna pani miała długą i gorzką przemowę o wszystkich grzechach: siedmiu głównych i 777-miu pomniejszych, z których dobrą połowę, jak się pokazało, Zosia posiadała głęboko w sobie zakorzenione. Na ostatku zaś, pobożna pani schowała do kredensu z powrotem mięso i rzekła ze smutkiem:

— Moje biedne dziecko, chciałam cię poprawić łagodnością, ale niestety! Widzę, że będę musiała cię ukarać. Sprzątam to mięso, na które nie zasłużyłaś, czujesz to chyba sama. Dostaniesz je w takim przypadku, gdy pilnością będziesz się starała naprawić swoje winy. Chciałabym cię ustrzedz od zabawiania się kłębkiem i roztargnienia, włożę go więc w ten woreczek z płótna. A ponieważ praca ręczna nie wymaga wysiłku myśli, możesz, pracując, zastanawiać się nad swemi wadami. Za jakiś czas wrócę, aby się przekonać, czy dosyć jesteś pilna. Mam nadzieję, że do tego czasu twój ojciec, o którym wciąż mówisz, zgłosi się tu po ciebie.

(D. c. n.) **M. H. SZPYRKÓWNA.**

ŚNIEGULEC.

Na ślizgawce, blizko brzegu,
Stał biały bałwanek z śniegu
I pilnował przez dzień cały
Dzieci, co się tam ślizgały.

A dzieciaki co poranku
Mówiły: — Bywaj, bałwanku!
Jakże waści się powodzi?
Tęsknił do nas pan dobrodziej?

Przyszła wiosna jasna, hoża;
Spłynęły lody do morza...
Nad roztopem, blizko brzegu,
Został sam bałwanek z śniegu.

Dzień za dzionkiem szybko leci;
Na ślizgawce niema dzieci.
Bałwanek tęskni i płacze:
— Kiedyż dzieci znów zobaczę?

Malał z płaczu bałwan biały —
Aż się w łzach rozpłynął cały...

H. Rostafińska - Choynowska.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Zagadka
dla dziatek — pięciolatek.

Siedzi sobie nad strumykiem
Ptaszek — zwany **Kukurykiem**,
I śpiewa·
Zdała idzie **Kłapouszek**,
Niosąc pełne kosze gruszek
Wprost z drzewa.
Gdy zobaczył ich nasz **Burek**,
Nasrożył się — niby Turek,...
Zaszczekał!
Miluś zląkł się, skik na płotek,
Z płotka zaś na kołowrotek
Uciekał.
Proszę Zosi, Jasia, Frani:
— Wyjaśnijcie mi kochani
Z wierszyka:
Jak się zwie tych zwierząt czwórka,
Albo trójka?... (lecz bez Burka
Złośnika.)

Henryk Pianowski.

REBUSIK
ułożył **Jasio Will** z Pruszkowa.



Rozwiązanie zadań, umieszczonych w Nr. 351 (świątecznym) „Kurjera Warszawskiego — Dzieciom“

1) **Logogryf:** 1) łaWek, 2) plEcy, 3) boSko, 4) grOno, 5) kółKo, 6) stYpa, 7) koCha, 8) BoHem, 9) BaŚka, 10) kaWka 11) dzIwy, 12) błĄka, 13) koTek, 14) obIad, 15) koNno, 16) głOwa, 17) peWno, 18) niEbo, 19) moGli, 20) plOny, 21) koRek, 22) błOgo, 23) beKsa, 24) dłUga.

Środkowe litery, czytane z góry na dół dają zdanie:

WESOŁYCH ŚWIĄT I NOWEGO ROKU!

2) **Zagadka: AKT, TKA, KAT, TAK.**

Dobre rozwiązanie nadesłali: Jureczek Aleksandrowicz, K· i T. Bagińscy, Rysio Białkowski, Zosia Bielska, Januszek i Krysia Bednarczykowie, Wandzia Borkiewiczówna, Toluś Braunszweig, Stachna Butrymówna, Zbyszek Butrym, Celina Brydakówna, Januszek Bylczyński, Stanisław Chojnicki, Maciuś Dąbrowski, Ryś Drągowski, Staś Dziadulewicz, Jerzyk i Zosia Furmankiewiczowie, Bobuś Gdański, Zygmuś Górski, Ania Jabłkowska, Henryk Jakimiak, Haneczka Jastrzębska, Otton Narkiewicz Jodko, Wanda Kassnerówna, Krysia i Hania Kosmólskie, Marysia Kramerówna, Jadzia Krauzówna, Jerzy Kronigkeit, Hanna Kupczykówna, Wandzia Machlejdówna, Janutek Makulski, Bogdan Malinowski, Zdzisław Masłowski, Jadzia Niedźwiedzka, Eugenja Niemaszewska, Władzio Okęcki, Krysia Osayda, Władzio Podlewski, Basia Pogodzianka, Ela Pogorzelska, Tadzio Polubiec, Irenka Prószyńska, Krysia Ptaszyńska, Tad. Radecki, Jerzy Reutt, Ala Rostanówna, Krysia i Feluś Skrodzcy, Basia Sporna, Tadzik i Januszek Suchorzewscy, Danusia Suzinówna, Zosia i Marysia Szpakowskie, Stefcia Tietzówna, Irka Treichelówna, Antoś i Edzio Tryjarscy, Jasia i Lolusia Tomaszewskie, Jasia i Marysia Tuszyńskie, Stefan Udowicz, Marysia Udowicz, Ira i Hala Vetterówny, Michał Walden, Jureczek Walenta, Juruś Wenda, Zdziś Wydmuch, Modzia Zaleska, Jan Zarański i Jasia Złotnicka—wszyscy z Warszawy, oraz z poza Warszawy: Stanisław Chodynicki z Poznania, Jurek Żołędowski z Poznania, Marysieńka Horska z Katowic, Wiśka Starzyńska z Łodzi, Zbigniew Bieńkowski, Joasia Modrzejewska, Zosia Wierzejska i Lenusia Fryczówna — wszyscy z Lublina, Krysia Janczurówna i Ewunia Kubecka — z Kielc, Krysia Pawłowska z Sosnowca, Wandzia Kowalska i Tadzio Mojkowski — z Łomży, Basia Drobiówna z Częstochowy, Halina i Janina Kałużanki ze Skierniewic, Krysia Pęczalska z Puław, Tadzik Białoskórski i Jędrek Kałuża z Włocławka, Renia Walewska z Tomaszowa Maz., Haneczka Wasiewiczówna z Opoczna, Dzidzia Świdówna z Modlina, Wandzia Fronczakówna z Nowego Dworu, Zosia Staniszewska i Jurek Gadomski z Makowa Maz., Zbyszek Prawicki z Sieradza, Niunia i Bola Wielgoszówny z Wielunia, Marychna Rankówna ze Stołpców, Stasio Czeczot ze Skarżyska, Zik Denasiewicz z Drohobycza, Lucjan Michalski z Chełma lub., Jadzia Plucińska z Leśmierza, Jurek Grzechociński z Bieniewic, Tadzio Nowakowski z Ostrowi maz., Jasio Will z Pruszkowa, Hala Kucharska z Piastowa, Marysia Piławska z Widz Wileń., Czesław Lorek z Ostrówka, Zosia Pawłowska z Milanówka, Andzia i Krysia Mielżyńskie z Kotunia, Hanka Chmielewska z Milanówka, Przemysław Strąbski z Milanówka, blewska z Sójek, Jędruś Pieńkowski z cukr. „Chełmica“, Miecio Drabarek z Wiktoryna, Dzidzia Hertykówna z Tarchomina, Staś Żytny z Brwilna, Janek Pogorzelski z Trzebini, Jadzieńka Luchtówna z Lipowca Kościelnego, Wandzia i Hania Kawieckie z Michałowa, Zosia Kucharska z Gościeradowa, Tomiłka Witowska ze Sławatycz i Tadek Pstrągowski ze Zdziarc.

NB. Nazwisk, rozwiązujących tylko samą zagadkę (jako zbyt łatwe zadanie) — nie umieszczamy.

Niusia Włodykówna z Kołodziąża, Basia Wró-

H. P.

W drukarni „KURJERA WARSZAWSKIEGO“, Krakowskie Przedmieście № 40.
Redaktorowie naczelni: Ferdynand Hoesick i Konrad Olchowicz. Wydawcy: Feliks Mrozowski i Konrad Olchowicz.